

# *Pegaz*

*Ogień życia*



KATE O'HEARN

# Pegaz

*Ogień życia*

*Papilon*



NajlepszyPrezent.pl  
TWOJA KSIĘGARNIA INTERNETOWA

Tytuł oryginału – *Pegasus and the Flame*

Tłumaczenie – Paulina Kielan PRE-TEKST, [www.pre-tekst.com](http://www.pre-tekst.com)

Redakcja – Marta Pawlus

Skład – Elżbieta Olma

Opracowanie komputerowe okładki – Elżbieta Baranowska

Text © 2011 Kate O'Hearn

First published in Great Britain in 2011 by Hodder Children's Books

The rights of Kate O'Hearn to be identified as the Author  
of the Work has been asserted by her accordance  
with the Copyright, Designs and Patents Act 1988

Polish edition © Publicat S.A. MMXIV

All rights reserved

ISBN 978-83-245-2041-1

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

**Publicat S.A.**

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24

tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00

e-mail: [papilon@publicat.pl](mailto:papilon@publicat.pl)

[www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

Zacnę jak zwykle od tego, że bez wsparcia i miłości mojej rodziny, moich wspaniałych redaktorek – Anne i Naomi – oraz cudownej agentki – V – ta książka nigdy nie ujrzałaby światła dziennego. Dzięki, kochani, jesteście wspaniali! (OTB jest wieczne).

Chciałabym także dedykować tę książkę wszystkim koniom, a w szczególności tym, które cierpią z powodu straszliwych warunków pracy i nieludzkiego traktowania. Gdyby tylko Pegaz mógł przybyć wam na pomoc! Skoro jednak nie może, do nas należy zadbanie o to, by żyło wam się lepiej.

Kochani Czytelnicy!

Jeśli jakkolwiek bądź gdziekolwiek możecie pomóc w tej misji, zróbcie to. Konie zmuszane do ciężkiej pracy, wycieńczone i nękanie przez właścicieli lub hodowców będą wdzięczne za Waszą miłość i troskę.



# Prolog

Na Olimpie wybuchła wojna.

Bez ostrzeżenia. Nic nie wskazywało na to, że nieznanego wroga gromadzi wielką armię, której jedynym celem jest sianie totalnego zniszczenia. Spokojne, niemal sielskie życie w jednej chwili zamieniło się w rozpaczliwą walkę o przetrwanie – krwawą, brutalną i zupełnie nieprzewidywalną.

Ale dla jednego z mieszkańców Olimpu wojna była darem losu, a przynajmniej szansą na spełnienie najskrytszych marzeń.

Pelen zerknął zza marmurowej kolumny na wojowników Olimpu szykujących się do odparcia ataku. Na czele stał Jowisz uzbrojony w pioruny i błyskawice, z poważną Junoną po lewej i mocarnym Herkulesem po prawej stronie. Z tyłu ustawiali się Apollo i jego bliźniaczka Diana dzierżący łuki ze strzałami, a także Mars i Wulkan z całym złowrogim arsenałem. Między nimi przemykał olimpijski posłaniec Merkury, w skrzydlatej czapce i latających sandałach. Wszyscy czekali w pełnej gotowości.

Wzrok Pelena padł na Pegaza. Oczy wierzchowca ciskały płomienie, skrzydła drżały z niecierpliwości, a złote kopyta nerwowo uderzały o ziemię w oczekiwaniu

na nieuchronną bitwę. Dalej roilo się od innych mieszkańców Olimpu, zdecydowanych, by bronić swoich domów, rodzin i mienia.

Lecz nie Pelen. On wcale nie zamierzał walczyć. Przecież nie był wojownikiem, tylko złodziejem. Poza tym miał inne plany i nie uwzględniały one bycia posiekanyym na kawałki w walce, której żadnym sposobem nie mogli wygrać, nawet z pomocą wszelkich nadprzyrodzonych mocy. Wojna to nie jego problem. Głowę Pelena zaprzętało raczej to, jak by ją wykorzystać do własnych celów. A nadarzała się nie byle jaka okazja. Kiedy bowiem wszyscy będą pochłonięci odpieraniem ataku, dobry złodziej może niepostrzeżenie wślizgnąć się do pałacu Jowisza i zgarnąć, co zechce.

Jednak tak naprawdę Pelen miał w nosie wszystkie bogactwa Jowisza. Pragnął tylko jednej rzeczy – złociwej uzdy Pegaza.

Uzda była największym skarbem Olimpu. Jedynie ona pozwalała okiełznać potężnego skrzydlatego wierzchowca. A mając nad nim kontrolę, Pelen będzie mógł dotrzeć wszędzie i zabrać wszystko, czego tylko zapragnie. I nikt nie stanie mu na drodze.

Oto prawdziwy skarb – nie jakieś tam monety czy głupie świecidełka, których pełno było w pałacu.

W tej samej chwili Jowisz przemówił i Pelen podkradł się bliżej, by lepiej słyszeć, co władca ma do powiedzenia w tej rozpaczliwej sytuacji.



– Moje dzieci! – zaczął Gromowładny grobowym głosem. – Nadeszła chwila próby. Nigdy przedtem nie stanęliśmy w obliczu tak strasznego niebezpieczeństwa. Mrowie niradów gwałtem przedarło się przez nasze granice i zakłóciło spokój tej pięknej krainy. Ich celem jest ogień olimpijski. Jeśli zdołają go ugasić, zniknie nasza moc, cały nasz świat i my sami. Ogień jest naszym życiem. Dlatego musimy ich powstrzymać. Za wszelką cenę. Jeżeli teraz nie stawimy im czoła i nie udaremnimy ich zamiarów, wszystko, co znamy, zostanie zrównane z ziemią.

Szmer głosów nasilał się. Pelen wyraźnie wyczuwał rosnące wzburzenie zgromadzonego tłumu. Sam nie spuszczał oczu z Pegaza. Rumak potrząsnął grzywą i parsknął, a jego złocista uzda zadzwoniła srebrzyście. Na ten dźwięk Pelena aż zaswędziały palce. Parę kroków i wystarczy sięgnąć, a... Jednak zdołał się pohamować. To nie był odpowiedni moment. Z ociąganiem znów utkwiał ciemne oczy w obliczu najwyższego z bogów.

– My, wolni od śmierci – ciągnął Jowisz – teraz stajemy z nią twarzą w twarz. Ale stawka jest o wiele wyższa. Walczymy nie tylko o nasz świat, lecz o każdy, który mamy pod opieką. Pokonując nas, niradzi pokonają wszystkich. To walka na śmierć i życie. – Uniósł dłonie i wystrzelił w niebo zygzaki błyskawic, a w ślad za nimi przez Olimp przetoczył się dudniący grzmot. – Czy staniecie u mego boku? – wykrzyknął. – Czy chwycicie za broń, by odeprzeć najeźdźców i wygnać ich z powrotem tam, skąd przybyli?

Oczy Pelena rozszerzyły się ze zdumienia na widok tysięcy rąk wznoszących się ku Jowiszowi w geście poparcia. Pegaz stanął dęba i szeroko rozpostarł skrzydła. Powietrze rozdarły bojowe okrzyki.

– Za Olimp! – ryknął Gromowładny i poprowadził swoje wojsko do bitwy.

# 1

Emily oparła dłoń na oknie. Na zewnątrz szalała burza i szyby aż drżały od grzmotów.

W wiadomościach przez cały dzień nadawano informacje o fali niezwykle intensywnych sztormów, która niespodziewanie nawiedziła wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych. Tam, gdzie mieszkała Emily, czyli w samym sercu Nowego Jorku, burze szczególnie dawały się we znaki. Siedziała samotnie w mieszkaniu, które zajmowała z tatą, funkcjonariuszem nowojorskiej policji. Patrząc na wyładowania raz po raz przecinające niebo, wciąż nie potrafiła uwierzyć, że zwykła burza może być a ż t a k gwałtowna i nieprzewidywalna.

Złapała telefon komórkowy. Dopiero co dzwonił tata, żeby sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku, i czuła się winna, że trochę mu nakłamała.

– Kochanie, mamy tu sytuację kryzysową – wyjaśnił. – Wezwano wszystkie jednostki. Pracujemy na podwójne i potrójne zmiany. Z powodu tej pogody miasto przypomina dom wariatów. Każda para rąk jest na wagę złota. Bądź ostrożna i koniecznie trzymaj się z dala od okien. Z piorunami nie ma żartów. Pamiętaj, że mieszkamy na ostatnim piętrze, a tam ryzyko jest największe.

Mimo ojcowskiego ostrzeżenia i własnej obietnicy, że będzie obchodzić okna szerokim łukiem, tkwiła teraz przy parapecie z nosem rozplaszczonym na szybie i obserwowała szalejący żywioł. To okno było ulubionym miejscem jej mamy, która nazywała je żartobliwie grzędą. Twierdziła, że z tej perspektywy może sobie patrzeć na życie toczące się dwadzieścia pięter niżej, jakby oglądała telewizję. Od jej śmierci Emily łąpała się na tym, że siada tu coraz częściej, jak gdyby sam fakt przebywania w tym miejscu pozwalał jej mocniej odczuć obecność mamy.

Ale nie tylko. Emily widziała stąd jak na dłoni Empire State Building, teraz uwięziony w szponach nawałnicy. Tata wytłumaczył jej kiedyś, że tak wysoki budynek działa niczym gigantyczny piorunochron i zabezpiecza wszystkie pozostałe w okolicy. A jednak, patrząc na kolejne świetliste zygzaki uderzające w antenę na szczycie, zaczynała mieć wątpliwości, jak wiele budowla zdoła jeszcze przetrzymać.

Dziewczyna podciągnęła kolana pod brodę, usiłując opanować drżenie. Kiedy mama żyła, Emily nie bała się burzy. We dwie jakoś zawsze potrafiły zmienić paskudną pogodę w dobrą zabawę. A teraz... Teraz, samiuteńka w pustym mieszkaniu, odczuła jej brak tak dotkliwie, jakby odeszła nie dalej niż wczoraj.

– Szkoda, że cię tu nie ma, mamó – westchnęła.

Jak tysiące razy przedtem, łzy napłynęły jej do oczu i srebrzystymi strumykami spłynęły po policzkach.

Nagle niebo rozbłysło oślepiająco i rozległ się potężny grzmot. Antena Empire State Building eksplodowała, wyrzucając na wszystkie strony deszcz elektrycznych iskier i niezidentyfikowanych metalowych części. Choć Emily widziała wszystko na własne oczy, ledwie mogła w to uwierzyć. Nie zdążyła nawet otrzeć łez, gdy w wieżowcu zgasły światła, a zaraz potem zaczęły stopniowo znikać też we wszystkich sąsiednich. Ciemność rozlewała się wokół niczym plama atramentu na dywanie.

Wyglądając przez okno, Emily mogła śledzić, jak kolejne ulice miasta pogrążają się w mroku, budynek za budynkiem, aż po Broadway. Gasły neony, lampy uliczne i sygnalizacja świetlna. Wkrótce prądu zabrakło także w jej domu i w mieszkaniu zapadła ciemność. Dziewczyna niemal przykleiła się do szyby, żeby zobaczyć, czy gdzieś palą się światła. Nigdzie się nie paliły. W Nowym Jorku było chyba bardziej czarno niż w samej czarnej dziurze.

Głośny dzwonek komórki sprawił, że aż podskoczyła. Trzęsącymi się rękami otworzyła klapkę i ujrzała na wyświetlaczu numer taty.

– Tato! – krzyknęła. – Nie uwierzysz, co się stało! Szczyt Empire State Building dosłownie wyleciał w powietrze. Rozwaliło go na kawałki i wyrzuciło na wszystkie strony.

– Właśnie słyszałem. Nic ci się nie stało? Nie uderzyło w budynek? – dopytywał się jej tata z niepokojem.

– Spoko. Wszystko gra – zapewniła dziarsko. Miała nadzieję, że w jej głosie nie słychać strachu, bo w rzeczywistości zaczynała dygotać z przerażenia. – Ale nie ma prądu. Chyba w całym mieście.

Emily usłyszała w słuchawce jakiś inny głos odzywający się w tle i niecenzuralne przekleństwo, jakie wyrwało się tacie w odpowiedzi.

– Dopiero co dostaliśmy wiadomość, że prądu nie ma już też w New Jersey – odezwał się znów do telefonu. – Em, to naprawdę duża awaria. I raczej szybko nie uda się jej usunąć. Musisz napełnić wodą wannę i wszystkie większe naczynia kuchenne. W końcu nie wiadomo, jak długo to potrwa, a bez wody ani rusz.

– Jasna sprawa! – zapewniła. – Tato, a kiedy wrócisz do domu? – wymknęło się jej, nim zdążyła ugryźć się w język.

– Nie mam pojęcia, ale mam nadzieję, że niedługo. Jeśli chcesz, zadzwonię do cioci Maureen i poproszę, żeby do ciebie wpadła, co?

Emily nie miała nic przeciwko ciotce, ale nie zamierzała zachowywać się jak malutkie dziecko. W końcu miała już trzynaście lat i świetnie potrafiła sama się o siebie zatroszczyć.

– Nie trzeba, tato – zapewniła. – Poradzę sobie.

– Jesteś pewna? Bo mnie się wydaje, że jej też przydałoby się towarzystwo.

– Jestem, jestem – potwierdziła. – Po prostu ta burza i ciemności trochę mnie zaskoczyły. Ale mam

co robić. Poza tym chyba lepiej, żeby ciotka nie wałęsała się po ulicach przy tej pogodzie. Nie mówiąc już o wdrapywaniu się na dwudzieste piętro. Dam sobie radę, tato.

– Niech ci będzie. – Jej tata początkowo wyraźnie się wahał, jednak w końcu dał za wygraną. – Ale gdybyś zmieniła zdanie albo cokolwiek by się stało, masz natychmiast dzwonić. Zrozumiano?

– Tak jest! Dziękuję. Lepiej się pospieszę, bo jeszcze zakręcą wodę.

Emily zakończyła rozmowę i oświetlając sobie drogę ekranem komórki, skierowała się do kuchni. Wygrzebała latarkę i przeszła do łazienki. Napełnianie wanny i wszystkich dostępnych naczyń wodą należało do standardowej procedury postępowania w razie awarii prądu. Zwłaszcza w wieżowcach, bo pompy dostarczające wodę na wyższe piętra też szybko przestawały działać. Jeśli się nie zdążyło zgromadzić dużego zapasu, groziło to niezłymi tarapatami.

Napełniła zatem wannę oraz wszystkie garnki i rondle. Zdążyła dosłownie w ostatnim momencie – właśnie nalewała wody do wielkiej wazy na zupę, gdy ciśnienie spadło, strumień zaczął się zmniejszać, aż w końcu ustał zupełnie.

– Lepszy rydz niż nic – westchnęła filozoficznie Emily i zakręciła kurki.

Przy tym wszystkim prawie zapomniała o szalejącej burzy. Lecz właśnie wtedy na tle wszechobecnej ciszy

grzmoty zabrzmiały z podwójną siłą, przy akompaniamencie jazgotu radiowozów i ryku strażackich syren.

Za łazienkowym oknem rozbłysła kolejna błyskawica i niemal natychmiast zadudnił grzmot. Przez chwilę zrobiło się tak jasno, że jeszcze długo po zapadnięciu ciemności przed oczami Emily latały migotliwe zygzaki. Ponieważ błysk i dźwięk następowały prawie równocześnie, burza musiała być bardzo blisko.

Przy kolejnym gniewnym pomruku Emily cofnęła się od okna. Lepiej wziąć sobie do serca radę taty i zachować bezpieczny dystans. Teraz tkwiła chyba dokładnie w samym sercu burzy, a z minuty na minutę sytuacja wyglądała coraz gorzej.